



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

O ile początek karnawału rozpoczął się leniwie i pierwsze bale i maskarady nie udały się wcale, o tyle pod koniec zapust jakaś gorętsza krew zatętniała w żyłach Warszawiaków i rozhułano się na dobre.

Gdybyśmy chcieli wymieniać bale wszystkie, publiczne i prywatne—ładną byśmy upletli wiązanek, lecz w tym wypadku wyręczają nas gazety codzienne, nie opuszczające najmniejszego szczegółu ze stroju pań, jako też robiące dość ściśle przegląd bufetowej zastawy.—Co do nas, to wystarczającym jest fakt, że się rozweselili ludziska, że tempo zabaw karnawałowych wciąż się wzmacnia, że—kto może—rzuca się w wir tańca z niehamowanym okrzykiem:

— Jeszcze! jeszcze!...

Nie dziwimy się wcale temu morfinowaniu się szaleńcem balów. Jest on częstokroć środkiem służącym do otumanienia zmysłów, do zapomnienia o tem lub owem, nieraz do przytłumienia tego a tego bólu. W dużych dawkach morfinę używają tylko bardzo chorzy, zbiedzeni, złamani na duchu. A czy myślicie, że wszyscy tańczący mają niebo w swych piersiach? Rad byłbym z potwierdzenia pytania rzuconego, — ale niestety! prawie każdy z was zaprzeczy temu.

Szaleją więc ludzie, ażeby w smutkach nie utonąć szaleją podwójnie, bo za dni już parę, posłyszysz głos nad pochylonemi głowami brzmiący:

„Pulvis es, et in pulverem reverteris!”

Okrutne przypomnienie!...

Nadejdzie postwiełki, rozmyślanie, pokuta i—spowiedź, jeżeli nie przed konfessyonałem, to przed własnym sumieniem dokonana, a czasem ten spowiednik ukryty w głębi naszej duszy stokroć jest

okrutniejszy od księdza dającego grzesznym ludziom przebaczenie.—Prawda, że czasem obłudnym bywa, ale i ta obłuda jest męcząca, bo choćby, nie wiem jak, ukrywało się winę—oskarzyciel zawsze się znajdzie i jeżeli nie trwogę w sercu, to rumieniec na twarz wywoła.

Tuż, tuż już przed nami — Popielec. Więc jak spienione rumaki, z zapartym oddechem, z wysiłkiem ostatnim do jego bram pędzimy.

O ile bale prywatne mają na celu li tylko zabawę, o tyle publiczne wzięły na się podwójne zadanie, bo dołączają nadto i—użyteczność. Czy na „Przytulisko” na „Schronienie” „Szpitalik” czy na bal „Studencki” idziemy, wiemy z góry, że tym wszystkim zabawom przyswieca cel bardzo piękny, który zachęca nas jeszcze bardziej do uczestnictwa w dobrem przedsięwzięciu, i do wspomnienia, względnie małym datkiem, tej a tej instytucji.

Stosunkowo jednak do wyłożonych pieniędzy, rzeczona instytucja nie zbyt wiele dostaje, bo gdyby można było obrachować wszystkie stroje pań, całe urządzenie takiego balu, różne do niego dodatki i dodateczki—przekonalibyśmy się, jak przerażająco małutki odsetek, idzie na cel dobroczynny. Ale to trudno.

Jeżeli nie zawsze pierwszorzędną, to zawsze potężną rolę odegrywa egoizm. Wydając grosz pewien na cel taki, a taki, dajemy go z większą chęcią, gdy tej ofiarności naszej towarzyszy myśl: zabawiemy się przy tem i sami. To ja góruje nade wszystkiem?—Na to rady nie masz.—Niejedna strojnisia, płacąc za bilet wejścia trzy ruble, a sto rubli na strój balowy wydając, nie dałaby pięciorublowego papierka, dajmy na to, na „Schronisko” gdyby po za tym wydatkiem nie widziała siebie, jak bóstwo ubranej, rzucającej uśmiechy i na uśmiechy odpowiadającej; gdyby w jej uszach nie brzmiały dźwięki muzyki, nie szeleściły jedwabie, nie zapadały w głąb jej serca słodkie szelesty szeptów ust męskich, gdyby nie nęciło jej tysiąc innych powabów, które mi myśl już od dawna przepelnioną została?

Nieznamy jeszcze rezultatów, jakeimi pochwalić by się mogły te wszystkie bale urządzone na cele dobroczynne, możemy jednak śmiało powiedzieć, że żaden z nich nie dorównał rezultatowi koncertu Mierzwńskiego, na pomnik dla ś. p. Stanisława Moniuszki.

Od lat już kilku nieodzywał się wcale mistrz śpiewu. Ani Warszawa ani innych ziem stolice wciąż tego długiego przeciąga czasu nie słyszały wysokiego C; tu i tam występowali różni śpiewacy, Mierzwński się nie odzywał.

Milczenie bywa częstokroć matką podejrzliwości. — Dla czego to nasz pan Władysław już nie śpiewa? pytano.

Odpowiedzi zrazu nie było, ale, że ludzi są nieradzi pytań wszelkich bez odpowiedzi zostawiać, wnet się ona znalazła.

— Stracił głos.

— Aj, aj, aj—pokrecono głowami.

— Przekrzyczał się—któż dodał.

— Czy może suchot dostał? spytał filister pewien, który w żywe oczy Mierzwńskiego nigdy nie widział.

— Nie — odpowiedziano—ale sforsował gardło, że aż mu strony głosowe popękały.

— Przepraszam—i rżerywa jegomość lepiej rzeczy świadomy. Nie popękały, lecz zgrubiały od natężenia i straciły dźwięk swój wspaniały.

— A operacya?

— Właśnie poddał się jej, — drapano mu i czyszczono gardło, lecz to się na nic nie przydało, przeciwnie—ochrypł ostatecznie i dzisiaj już tylko koguty tnie same.

— Patrzcie! Mierzwński tnie koguty!—Jakaż to szkoda dla sztuki.

— Szkoda—lecz na to żaden już święty nie poradzi.

Gawędzili tak sobie pocziwi ludziska, nawzdychali się co nie miara, aż wreszcie ze smutnym faktem musieli się pogodzić:

„Mierzwński tnie kukuryku.”

A on tymczasem, w rzeczywistości, czyścił sobie gardło, urabiał tony coraz piękniejsze, miększe, pieśniewsze,—wyzywał się resztek szorstkości, jakie w głosie swoim posiadał, zaokrąglął, wypotęgniał dźwięki, słowem, pracował nad sobą, gdy tu *requiescat* warszawskiemu słowikowi śpiewano.

A oto przyszedł czas, w którym obudziło się śpiące sumienie warszawian, że śpiewak „Halki“ dotąd właściwego sobie pomnika nie ma. Tę pierwszą myśl przed laty podniósł sam Mierzwinski. Urządzono więc koncert Moniuszkowski, najdzielniejsze siły do apelu stanęły, i każdy miał prawo spodziewać się, że ściany koncertowej sali nie wytrzymają natłoku, rozejdą się same, by dać więcej miejsca publiczności, ubóstwiającej mistrza polskiej pieśni.

Niestety!

Mogłyby się zwięzić, zwięzić do trzech czwartych zwykłych wymiarów swoich.

Koncert się nie udał. Przyczyna tego nieudania niezrozumiała jest—ale fakt faktem zostanie.

Sprawa więc pomnika Moniuszki pozostała w zawieszeniu.

Lecz oto zjeżdża sobie Mierzwinski do Warszawy.

— Poco?—Czy odwiedzić miasto rodzinne?—ten i ten pyta.

— Nie—śpiewać?...

Zdziwienie...

— Śpiewać?

— Na pomnik dla Moniuszki.

— A chryпка, a struny popękane, a operacya? a kukuryku?

— A no—ma śpiewać...

Z pewnem niedowierzaniem oczekiwano koncertu.

Tajemnicą jest, wiedział czy nie wiedział pan Władysław o tych głosach różnych krążących o nim,—ale, po pewnym koncercie (nie pomnę w tej chwili, którego z wirtuozów) otoczony gronem przyjaciół i muzyków, usiadł przy fortepianie, uderzył od niechcienia w klawisze i—zanucił.

Ten sam głos, ta sama potęga, namietność, siła—tylko przybyło srebrzystości więcej, głos w dźwiękach metalicznych się rozpyływał i, jeżeli nie z gromów burzy nie stracił, zdołał teraz słowicami czarować tonami; dawniej tylko siłą zdumiewał, teraz wprost brał za serce i na strunach uczuć grał, jak sam pragnął.

Czy mógł się nie udać koncert Mierzwinskigo?

Pomijając czas karnawałowy, moc balów — sala nie mogła pomieścić widzów — Grzmot oklasków wynagrodził znakomitego śpiewaka, który nie usypiał na raz zdobytych laurach, lecz pracował w cieniu, by pierwszym występem swoim po latach rzekomego spoczynku, przyczynić się do posunięcia naprzód sprawy pomnikowej autora Halki.

Rezultat koncertu był świetny—tylko, nie pojmujemy dobrze dla czego Dyrekcya Teatrów, potraciła dla siebie zwykłą z koncertów część, którą tym razem do tysiąca trzystu rubli wyniosła. Bez tego potracenia, summa pomnikowa przeniosłaby przeszło sumę 5,000 rubli—a to już było dało możność przystąpienia do zamierzonego dzieła. Słuszną ma nadzieję kronikarz Tygodnika Ilustrowanego, że dyrekcya Teatrów, zważając na zyski długoletnie, jakie ściągająca z przedstawienia dzieł mistrza, potraconą tymczasowo część, zechce ofiarować na pomnik Moniuszki.—Nie jesteśmy innego i my też zdania i nie wątpimy na chwilę jedną, że dochód z całości koncertu, nienaruszonym zostanie.

Wspominając to o tem, to o tem, o różne muszę strony potracając, czasem majorową, minorową czasem nutę pogłaskać, a już nie moja jest w tem wina, że mimo przeróżnych rogatek, na ostatnią drogę wjeżdżam najczęściej. Nie mój w tem wybór, tylko dróg krzyżujących się przedemną. Oho! pokażcie mi tylko szeroki, bity gościniec, zamiast tarniowemi krzakami, krzewami róż odzierżgany, a z rozkoszą przejadę się po nim, sygnac pod nogi wasze rozwinięte kielichy kwiatów. Lecz człek wybiera to, co jest, nie to, co by chciał.

Ale dziś weselszy mi się dzień uśmiecha. Posłuchajcie, a nie wątpię, że z radośnem sercem radość moją podzielicie. — Zapraszam was tedy na przechadzkę...

— Dokąd?

— Zgadnijcie, łaskawi?

— Na bal?

— Ojej—czy jeszcze ich mało macie? A zresztą bal najświetniejszy nawet, nie z weselem mojem wspólnego mieć nie może.

— Pójdziemy więc do teatru?...

— Ha! gdyby tam wspaniały dramat grano jakiego naszego Szekspira, dramat, wstrząsający i rozbudzający tysiąc myśli podniosłych—dzień ów, bez zaprzeczenia, nazwałbym dniem radości. Ale nie—do teatru was nie powiodę; na „Podprefekta“ zaś sami chodźcie, i śmiejecie się do rozpuku. — Zatem.

— Nie domyślamy się niczego.

— Nie dziwię się wcale, bo cóż za związek mieć może z wesołością — Muzeum rzemieślnicze, które, jak dotąd świeciło tylko pustym napisem i pustką swych sal. Rzadko kto z przeciętnej publiczności zwracał spojrzenie na piękny gmach przy Krakowskim-Przedmieściu stojący, więcej już obchodziła ogół wystawa etnograficzna niż Muzeum rzemieślnicze, a to będzie dostatecznym dowodem zaniedbania tego ostatniego. A tymczasem ludzie dobrej woli i rozumiejący potrzeby kraju nie zasypiali gruszek w popiele, lecz cicho, a spokojnie dokładali cegiełkę do cegiełki, ziarno do ziarnka rzucali w napozór niewdzięczną glebę—aż z cegieł owych wcale piękny dom powstał, a z ziarn dorodne wyrosły który.

Dnia 6-go Lutego, b. r. Zarząd przedstawił do brodziejom i protektorom Muzeum rezultaty swej działalności, za ukończony trzeci rok swojego istnienia.

Pomijając sale, w których obok wzorów i modeli pomieszczone były prace i rysunki młodzieży uczęszczającej do Muzeum, wzrok mimowoli się zwracał na artystyczne wyroby pań w dziedzinie sztuki stosowanej do przemysłu, biegł też do sal rysunkowych, w których młodzież rzemieślnicza pod kierunkiem instruktorów rysunki swe wykonywała.

Liche dotąd wyobrażenie mieliśmy o uczniach naszych warsztatów rzemieślniczych. Poziom ich umysłowy stał tak nisko, że nie tylko nieodważylibyśmy ich porównać z rzemieślnikami zagranicznymi, ale sama myśl o tem, wywoływała uśmiech lekceważenia na usta. Zdolności może tam i są—mówiliśmy sobie — ale smak artystyczny nie przychodzi od razu, z nim się już łączy pewne piękno duchowe, o którym nasz rzemieślnik nie prędko pojęcia nabierze. A tymczasem spotyka nas miłe zdziwienie, bo nietylko i artyzm się znalazł, lecz i niepoślednia technika wykonawcza, co razem wzięte, dały nam prawdziwie piękne próby prac uczniów.

To też nie dziwimy się zastysznanemu okrzykowi: — Zdumiewające!

Tak, zdumiewające! — Po pierwsze — dla tego, że Muzeum i sale rysunkowe istnieją zaledwie od lat trzech, powtóre: że, jak pokazało nam sprawozdanie, mało jest takich, którzy uczęszczają do nich stale dłużej, niż rok, a zaledwie trzynastu tylko uczyło się tu przez te całe trzy lata, — i — po trzecie: że mamy brzydki zwyczaj, wydawania zawsze sobie świadectwa niedojrzałości. Ten zwyczaj, który także w szlachcie widzieć tylko zgniłą warstwę społeczeństwa, w chłopie bezduszne stworzenie, w rzemieślnikach naszych nieponiów — jest przyczyną owego późniejszego zdumienia, że chłop ma serce ludzkie, a rzemieślnik zdolności artystyczne.

Tego rodzaju poglądami nie kierował się Zarząd Muzeum, lecz się zajął uczciwie pracą, a umiejętnością kierunku i doskonałym wyborem instruktorów, przyczynił się rzetelnie do estetycznego ukształcenia naszej młodzieży rzemieślniczej. Do sal muzealnych uczęszcza dziennie około 250 osób, godzin zaś pracy rysunkowej rocznie dla młodzieży przypada 2,950.

Jak każda instytucja, tak i nasze Muzeum ma swoje i to znaczne wydatki, pomimo jednak niewielkiej bardzo opłaty za wejście i korzystanie z wzorów i wskazówek, majątek Muzeum — dzięki rozumnej gospodarce zarządu i hojności ofiarodawców, powiększa się stale. — Powiększyły się też zbiory i półki biblioteki raz wraz zapełniają się książkami.

Krom tego ma Muzeum stypendystę, którego rok rocznie wysyła za granicę z trzystorublowym zasiłkiem. Obecnie z tego stypendium korzysta artysta-litograf Ausnerin, który niebawem z zagranicy powraca, ustępując miejsca wyróżnionemu się zdolnościami innemu pracownikowi.

Roku ubiegłego Muzeum wysłało jednego z artystów wraz z modelarzem do Częstochowy w celu wyboru i reprodukcji najwybitniejszych pod względem estetycznym wzorów. Kilka z nich można widzieć w osobnej umieszczonej witrynie.

Jak więc widzimy, według sił swoich i środków, zarząd robi co może. Zdolniejszych uczniów zachęca do pracy usilniejszej nagrodami, czy jak chcą, upominkami, dawanymi w postaci narzędzi służących do robót rysunkowych lub cyzelerskich i snycerskich, albo książek objaśniających dalszy kierunek pracy i ułatwiających ją pracownikowi. Z temi wszystkimi dobrodziejstwami łączy się imię poważne p. Stanisława Rotwanda wice-prezesa Muzeum. — Wiemy też jaki udział brało Muzeum w wystawie metalowej u nas, dowiadujemy się także, że zaprezentuje się i na wystawie w Niższym-Nowogrodzie. Z inicjatywy tegoż Muzeum urządzają się wystawy umeblowań stylowych oraz afiszów i ogłoszeń przemysłowych. Nie dawno zostały otwarte kursa rysownicze dla kobiet dające środek do życia hafciarcom, malarkom na tkaninach i t. p.

Słuszną, jeden ze sprawozdawców dziennikarskich, u którego pewne poczerpnęliśmy szczegóły — robi uwagę: że „W liście ofiarodawców, odczytywanej na każdym zebraniu rocznem, słyszy się zawsze tylko jedne i te same nazwiska.“ Dołączając do tego fakt, że zbiory muzealne odwiedzane się nader rzadko, a z biblioteki, jaką Muzeum gromadzi, nikt nie korzysta — dziwić nas może ta obojętność ogółu, od którego głównie dalszy rozwój tej instytucji zależy.

Lecz bądźmy cierpliwi — i nie przesadzajmy przeszłości. — Postępy uczniów, dany dowód przez Zarząd Muzealny, że nie jest zbyt czynnym zakładem — przebijają lody obojętności i gdy drugich lat trzy upłynię na liście ofiarodawców znajdują się nowe nazwiska, a zdwojony tłum ciekawych zawiesi spojrzenia swoje na ścianach sal pożytecznego gmachu.

Różnie się dzieje na tym bożym świecie, mieszają się światła i cienie, złe i dobro płacze się w węzeł jeden. Przypatrując się jednak bliżej tej wiązance, przeważają w niej smugi czarne, dobro pojawia się rzadko a wstrętny nieraz występek rozpiera się bezczelnie. — Nie u nas wprawdzie tak się dzieje, ale w dalekim Paryżu, który od dawna na miano Babilonu zasłużył — lecz nie zasklepiających się w prowincjonalnym partykularzu, obojętnem jest tu czy tam — boć i tamtejsi są niczem innym, jak tylko bracia naszą w ogólnem tego słowa znaczeniu.

Sądząc ze skandalów i wzmagających się wciąż procesów paryskich, dojmując nas smutek jakiś, na widok narodu wielkiego, pogrążającego się wciąż w bezden zepsucia. Kradzieże publicznego grosza, oszustwa i łajdaństwo różne są tam na porządku dziennym. To wszystko zmusiło jednego ze współpracowników „Gaulois“ do zapytania Emila Zolę, gdzie on dostrzega źródło tych bezczeństw. — I co taką dać odpowiedź autor „Nany“ „Lourd“ i „Bête humaine.“

Dawniej fakta podobne nie przybierały tak wielkich rozmiarów, bo dzienniki bardzo mało poświęcały im miejsca. Dziś sprawy kryminalne rozmazywane są na całych szpaltach, zajmują w tekście pierwsze miejsce, stanowią siłę przyciągającą każdego wychodzącego z pod prasy organu. W społeczeństwie zapanowała swoboda, niczem nieokiełznana wolność. Nie ulega wątpliwości, że w każdym lesie są wilki, ale ukazują się wtedy dopiero, gdy głód wypędzi je z gęstwiny. Zgłodniałe, krążą po wielkich gościniecach, ścieżkach, ulicach i salonach... Rzucają się na wszelki spotkany na swej drodze żer. Cóż dziwnego, że w społeczeństwie złotu tylko hołdującemu, ludzie, pozbawieni tego kruszcza, nie cofają się przed czynem najohydniejszym, zwłaszcza, że w życiu szukają tylko rozkoszy. Kiedy mówiono wiarą głęboko przejętemu: „Do czego prowadzą rozkosze ziemskie? Czy mogą się równać ze szczęściem, jakie znajdziesz w niebie, zasiadłszy po prawicy Boga? Pogardzaj dobrami tego świata! pogardzaj dostatkami znikomymi, skoro tam w górze czeka na ciebie szczęście wielkie, wieczne, z niczem nieporównane.“ Wierzący ze czcią słuchał tych słów i całe życie do nich stosował. Lecz oddawna tych rad już nikt nie słucha. Teraz wszyscy mówią: „Po co uczciwość, praca, skoro z ostatniem technieniem zmienię się w bryłę bezduszną? Nie nie mamy przed sobą a więc nurzamy się w rozkoszach.“ I wszyscy nurzają się w roz-

koszy i jest to jedyny cel ich życia. Zburzony ideał chrześcijański, niezastąpiony niczem będącem w stanie utrzymać społeczeństwo w równowadze moralnej, wywołał bankructwo!

My nie zaprzeczamy tym słowom—piękne są, ale czy do zburzenia tego ideału, do oswojenia się ze wszelkim występkiem nie przyczynił się w znacznej części mówiący dziś te słowa znakomity mistrz pióra powieści francuskiej? Zapewne, nie miał on zamiaru psuć społeczeństwa, przeciwnie, zadaniem jego było przyłożyć nóż chirurga do zgangrenowanego ciała, rozognione żelazo do rany bolącej i wypieć miejsce zatrute. Lecz chirurg obosieczny miał nóż i wycinając organa chore, drugim ostrzem i zdrowe zarażał. Znam takich, którzy o pewnego rodzaju występku dowiedzieli się z książek autora „Germinala” zajęła ich nowość grzechu, śpiące zwierze zbudziło się w ich wnętrzu i zażądało karmić. Zakaz starszych nie powstrzymywał młodzieży od czytania dzieł Zola — a prawda to, jak świat, stara, że owoce zakazany ma smak przewymieniony. I dzisiaj, niezmęczony kandydat do fotelu nieśmiertelnych, mówi o zburzonym ideałach chrześcijaństwa, o nadużyciu rozkoszy! Oeh! wiele serc dotąd czyjących, płamy swoje zawdzięcza, z kądem znakomitemu powieściopisarzowi. Szeroko on rozpuścił swe rumaki, pędząc po błotnych nizinach życia ludzkiego, dziś już na jasne nie zwracać mu gościeńce, bo i tam doleciały bryzgi tego błota. Nie udała się chirurgiczna operacja, dobra wola złego ożyła w zaprzęgu.

Lecz wracajmy na grunt swojski.

Ludzie się bawią, rodzą i umierają... Dużo grobów usypało się ostatnimi czasami, dużo w nich się pokładło tych, z którymi nas łączyła, jeżeli nie niepokrewienstwa, to myśli i współczyn. Dnia 5-go Lutego zmarł na cierpienia sercowe w szpitalu S. Du-cha s. p. Antoni Golański, współpracownik pism warszawskich. Przez długie lata na chleb piórem zarabiał; próbował sił swoich i w dramatopisarstwie, napisał też kilka komedyyek cieszących się powodzeniem. Pisywał jednak przeważnie artykuły z dziedziny sztuki, odznaczające się zawsze bezstronnością sądu i prawdziwym poczuciem piękna. Jako człowiek, odznaczał się wielką zaćnością charakteru, żył skromnie, nieczyjej nie żądając łaski. Umarł z wielkim żalem tych, którzy go bliżej znali i umieli cenić.—Przeniosła się także do wieczności od lat czterech współpracowniczka Bluszcza, podpisująca się E. F., s. p. Emilja z Bogowskich Friedman, wychowanka Krakowa, pozostawiając żal szczery w kochającym mężowskim sercu. Czytelnicy przypominają sobie różne *Notatki z podróży*, kreślone jej piórem, gospodynie nieraz posiłkowały się jej radami w zakresie domowego gospodarstwa, znaną też była, jako tłumaczka z obcych języków.

Do bardzo ciężkich strat zaliczyć tu musimy odejście do wieczności s. p. Emilji Petau, przewodniczącej Kasą pożyczkową nauczycielek. Nieboszczykę znaleźmy osobiście, patrzyliśmy na jej czyny nie głośne lecz donośnego znaczenia. S. p. Emilja należała do tych ludzi, którzy u owia niewiele lecz wiele robić lubią. Kochając wszystkich nie znała zawiści; nieprzyjaciółką nieczyja być nie mogąc, miała tylko przyjaciół. To też starość nie była jej ciężką, bez krewnych i rodziny nie czuła się samotną. Rodziną jej było społeczeństwo w którym żyła, dla którego w cichości pracowała dachą. To też żal szczery towarzyszył jej zwłokom do grobu, a niejedne oczy idących za trumną osłaniały się mgłą łez tłumionych.

Pokój ci wieczny doszo kryształowej czystości!

??

Z DZIEJÓW WIEDZY.

(Dokończenie).

Metafizyka jego, czyli nauka o istocie wszystkich rzeczy w głównych rysach polega na tem, że różniła wszędzie materję (materjał) i formę (kształt). Materja sama przez się jest bierna, a forma nie jest tylko przypadkowym kształtem, ale jest jakby

duszą rzeczy, nadającą jej kształt i ruch. W logice pierwszy podał formę *wnioskowania*, t. j. sposobu, którym myślą przechodzimy od prawdy ogólnej do szczegółowej, na przykład:

Wszystkie zwierzęta oddychają.

Ryba jest zwierzęciem;

wniosek: Ryba oddycha.

Zestawiając tych dwóch wielkich filozofów starożytności, tak mówi o nich jeden z pisarzy *francuskich* *):

„Świat Platona—to świat niewidzialny; dusza ludzka rzucona jest na ziemię, jak okręt w morze. Ze szczytu masztu majtek widzi tylko otaczającą go nieskończoność;—to czynność umysłowa. Lecz wzrok sternika przebiega przestrzeń—to praca ducha: „Tam coś widzicie,” woła i już przezuwa brzeg daleki, który jest celem podróży.

„W świecie widzialnym, wszystko nam się wydaje, wszystko nas ludzi; dostrzegamy tylko cień rzeczy; przywiązujemy się do istot śmiertelnych; rzeczywistość ogranicza polot myśli. W świecie niewidzialnym wszystko nas pociesza i podnosi, zbliżając do doskonałości; duch ogląda Boga, poznaje typy piękna, których chociaż daremnie szukał na ziemi, lecz szukać nie przesawał.

„Kiedy Platon zakłada państwo swoje w krainie ducha, Arystoteles staje się królem ziemi. Jego geniusz, równie obszerny jak kula ziemiska, obejmuje ją całą... Przyglądając się zjawiskom przyrody, stwarza on fizykę; obserwuje zwierzęta zaludniające ziemię i tworzy zoologię; bada myśl ludzką i układa logikę. Prawa narodów są mu również dobrze znane jak i prawa myśli. Jego umysł obszerny obejmuje formy rządów, ich sprężyny wewnętrzne, ustawy narodów i ich politykę, a w całej tej pracy zapomina o jednej rzeczy—o sprawiedliwości i cności *). Ten geniusz tak rozległy wszystko umala i znika nieskończoność Platona; wszechświat redukuje się do wrżenia, myśli, materji i ruchu.

Platon tworzył filozofią ideału; Arystoteles—filozofią rzeczywistości. Jeden i drugi zostawili licznych uczniów; następców pierwszego nazywano *akademikami* (od nazwy domu Platona, w którym się zbierali); uczniów Arystotelesa—*peripatetykami* (czyli spacerującymi), gdyż filozof ten miał zwyczaj nauczać spacerując.

Obok tych dwóch systematów filozoficznych postawić można systemat *Demokryta*, który, idąc w ślad za Lencypem, usiłował wytłomaczyć powstanie i wszystko za pomocą atomów i ich ruchów. Taki systemat nie przyjmujący innych pierwiastków oprócz materji (wszystko inne jest złudzeniem, uczył Demokryt) nazywamy *materiaлизmem*; przeciwstawny jest *idealizmowi* Platona. Układ Arystotelesa, który przyjmował dwa pierwiastki (materję i formę) nazywa się *dualizmem* (od *duo*—dwa); zajmuje on środek między dwoma krańcowymi. Arystoteles był miłośnikiem środka we wszystkim.

VI. Upadek filozofii starożytnej i rozwój wiedzy umiejętności poszczególnych.

Zdawało się, że geniusz grecki wyczerpał się wydawszy wielkie systematy filozoficzne: to co po nich nastąpiło nie zawierało nic nowego; było tylko powtórzeniem lub dalszym rozwojem myśli poprzedników. Zresztą wiedza urosła do tego stopnia, że pojedyncze jej gałęzie zaczęły się oddzielać od wspólnej jej filozoficznego i wytwarzały odrębne umiejętności.

Cztery główne szkoły panowały w starożytności po śmierci Arystotelesa:

Stoicy (od miasta Stoa, gdzie założył szkołę Zeno w r. 300 prz. Chr.), rozwijając dalej naukę cyników, uważali filozofią za drogę do najwyższej doskonałości człowieka, t. j. do mądrości. Głównie mieli więc na względzie cnotę. Mądrość według nauki stoickiej polega na spokoju ducha, niezachwianem wobec nieszczęścia; taki spokój czyni

człowieka niezależnym od biegu rzeczy, a więc prawdziwie wolnym. Należało do tej szkoły wielu rzymian, między innymi cesarz Mark Aureliusz.

„Niech zginie świat, byle by stało się zadość sprawiedliwości” takie hasło stoików świadczy o wysokim ideałach moralnym.

Wprost przeciwną była nauka *Epikura* (ur. 341 prz. Chr.), zwolennicy którego stanowią szkołę *epikurejczyków*. W filozofii natury idzie on w ślad za Demokrytem, wyprowadzając świat z atomów; w etyce, przyjmuje naukę szkoły cyrenańskiej, wprowadzając uszlachetnioną ją przez to, że rozkoszom ducha daje przewagę nad cielesnymi.

Sceptycyzm, czyli filozofia zwątpienia, której założycielem był Pirron, przypomina znowu sofistów: „ponieważ nie ma pewności wiedzy,—twierdzi ten filozof,—więc mędrzec powinien się wstrzymać od sądu.

Nowoplatonizm stanowi odnowioną naukę Platona z przeważnie religijnym charakterem. Wiele z wyrobionych przez nią poglądów weszło później w naukę chrześcijańską. Z biegiem czasu wprowadziła się ta filozofia w mistycyzm (wiarę w tajemnicze potęgi).

*

*

*

Jednocześnie z upodobaniem filozofii zaczyna się rozwój poszczególnych umiejętności, a przyczyniły się wielce do tego pewne okoliczności polityczne. W Alexandrii, mieście założonem przez Alexandra Macedońskiego u ujścia Nilu w Egipcie, mieście, które wkrótce stało się punktem środkowym handlu całego ówczesnego świata, założyli potomkowie króla Macedońskiego *Muzeum*, które wkrótce stało się ogniskiem wiedzy ówczesnej. Był to rodzaj akademii umiejętności, gdzie szereg uczonych pracował tu nad rozwojem wiedzy, nagromadzeniem biblioteki i nauczaniem zbiegających się z całego świata uczniów.

Uczni ci, których pracę wynagradzał rząd, nie potrzebowali o niczem myśleć tylko o rozwoju i szerzeniu nauk, a wszystkich potrzebnych środków dostarczało Muzeum, przede wszystkim w postaci olbrzymiej biblioteki, zawierającej odpisy wszystkich książek, jakie tylko były wówczas znane. Ta nieoceniona skarbnica wiedzy została później z ogromną szkodą dla ludzkości spalona podczas jednego z oblężeń miasta.

Nie mało przyczyniła się do rozwoju wiedzy i inna okoliczność: Alexander w czasie wypraw swoich wojennych, podbijając kraj Azji i Afryki, uczynił przystępnymi dla uczonych greckich, skarby spóstrzeżeń i wiedzy, nagromadzone przez kapłanów tych krajów, a przechowywane dotąd przez nich w tajemnicy.

Ale najważniejszym czynnikiem rozwoju wiedzy, bez którego nie wzmogłaby się ona ponad proste nagromadzenie spóstrzeżeń, jak u ludów wschodnich, były pewne myśli i pojęcia wyrobione przez filozofię grecką. Przy pomocy tych pojęć z luźnych spóstrzeżeń i prawideł wytworzył się piękny gmach wiedzy; były one tem, czem jest cement, zlepiający cegły i kamienie budowli, a bez którego materiał budowlany byłby tylko kupą gruzów.

Idea porządku i miary, jaką widzimy w filozofii pytagorejskiej; myśl pierwotnej substancji trwałej wśród przemian pozornych, która przewodniczyła już najpierwszym próbom filozofii; rozróżnienie pomiędzy poznaniem zmysłowym a rozumem, pomiędzy duchem a ciałem, formą a materją; wyrobienie w logice prawideł i zasad poprawnego rozumowania oraz porządkowania zjawisk i przedmiotów (*klasyfikacja*)—wszystko to stanowiło niezbędną szkołę przygotowawczą aby umysł mógł wstąpić w dziedzinę wiedzy ścisłej.

Filozofia nie była tylko piastuną, która wykształciła młodzieńczy umysł ludzkości, ale i przewodniczką jego wśród zawiązanego labiryntu wiedzy.

W. M. Kozłowski.

*) Aimé-Martin. Plan d'une bibliothèque, universelle. 1837.

*) Usprawiedliwia on niewolnictwo i nierówność klas.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

X.

Salę balową w Zarzeczcu zamieniono na kwiecistą altanę. Oranżerye miejscowe nie wystarczyły, prezes więc sprowadził z Warszawy obfitość wielką róż, konwalii i chryzantemów. Park przystrojono w kolorowe lampy, jezioro przybrano flagami. Czółna i eleganckie baczki oczekiwały w przystani, w programie bowiem figurował: „Wieczór w Wenecji,” pomysły przez prezesa, który osobiście urządzeniem jego kierował.

Przybyli na tę uroczystość, księżę Rafał nie szczędził słów uznania prezesowi, a zlewały się one w zgodny akord z entuzjastycznymi wykrzyknikami p. Kamilli Malskiej, wyglądającej jak rusałka, w bogatych zwojach srebrzysto-zielonego atłasu, pajęczych koronek i brylantach rozsypanych misternie w złocisto-rudych włosach i na białej jak puch łabędzi szyi.

A były to przecież dwa zdania, najwięcej obchodzące pana Klemensa.

Bal ów i przybycie ks. Rafała poruszyło wszystkie umysły w dziesięciomilowym promieniu okolicy Zarzeczca.

Ten i ów nie dowierzał, inny zazdrościł; ktoś znowu z pojęć przestarzałych żartował, ale nie mniej oczekiwano zabawy z niecierpliwością, bo prezes stosunkami swymi z arystokracją wyrobił sobie pewien kult w obywatelstwie.

Rozprawiano wiele i na temat zbytów, boć oczywiście o każdym sprowadzonym antalku wina, o przepychu w urządzeniu pałacu i balowych figlów wiedziano doskonale.

Potrzasano też głowami z niedowierzaniem, twierdząc, że kto od zbytów zaczyna, z pewnością w rękach lichwiarzy skończy, że czasy dla gospodarzy ciężkie; gdy atoli termin owego okrzykanego balu nadszedł, stawili się wszyscy do apelu, z uśmiechem cukrowej słodyczy na ustach, ze słowem gorącego dla prezesa uznania.

I jeśli Krasnohorski, w swej niepomiarowanej chęci błyszczenia i olśnienia wszystkich, chciał od razu całemu sąsiedztwu zaimponować, to przyznać trzeba, że cel osiągnął w zupełności.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek, prezesie—mówił księżę Rafał, opierając dłoń poufale na ramieniu Krasnohorskiego. — Wszystko ci się udaje. O dobroci piwnie twoich nie wątpię; że menu ułożysz ze smakiem i dasz nam rozmaite zamorskie specjały, z góry przygotowane byłem, ale żebyś taki kwiat piękności kobiecych zgromadził, no, to już osobistego szczęścia potrzeba. Malska coraz efektowniej szła... Patrz tylko, jaka świeżość cery, jakie oczy! Apetyczny kasek! Czy mam ci powinszować, kochany prezesie?

Krasnohorski promieniał zadowoleniem.

— Cóż znowu! — bronił się słabo. — Księżę nie uznajesz trwałości uczuć, małżeństwem usankcjonowanych?...

Księżę się śmiał.

— Opowiadaj to innym, kochany prezesku! — żartował. — Znaną mi jest twoja wierność małżeńską... Nam potrzeba wrażeń świeżych, nieprawdaż? Choćbyśmy nawet posiadali taki zbiornik cnót i wdzięków, jak szanowna twoja małżonka...

Przyłożył szkiełko do oczu.

— Inny rodzaj niż Malska, oczywiście; ale jak wspaniale p. prezesowa w tym oranżowym pluszu wygląda! A panienki! Szczęśliwy z ciebie mąż, p. Klemensie, szczęśliwy ojciec!

Wśród przybyłych i z Warszawy i z okolicy panien, Amelka i Janina wyróżniały się urodą i wdziękiem. Biała gaza i wonne dzwoneczki śnież-

nej konwalii odbijały ślicznie od ciemnych warkoczy i świeżych rumieńców, oczy błyszczały nadzieją zabawy, uśmiech rozjaśniał twarze.

Trudno było istotnie pomiędzy dwiema siostrami wybór uczynić. Słodki urok, jaki poważna piękność Amelki roztaczała w około, skłaniał ku niej wszystkie serca, w których znowu żywa, tryskająca ujmującą swobodą i dowcipem Janina rozpaliała uczucia, budziła zachwyt i zaciekawienie. Z jakim to ona niedbałym wdziękiem przyjmowała komplementa, z jakim lekceważącym uśmiechem przyglądała się licznym swoim wielbicielom, nie wyróżniając żadnego, chociaż pomiędzy nimi znajdowali się tacy, którzy nawet wybredny gust zadowolili mogli.

Spojrzenie Dembińskiego goniło ją z uwielbieniem ale i z pewnym rodzajem trwogi. Nie zbliżał się atoli, przywykły do chłodu jej obejścia, do sarkastycznych słówek i uśmiechów, które mu przykrość sprawiały. Obserwował ją przecież bacznie i wyciągał pocieszające dla siebie wnioski, widząc, jak harda dziewczyna obojętnie przyjmuje hołdy.

— P. Amelia ślicznie dziś wygląda! — rzekła p. Kamilla, bystrem spojrzeniem ogarniając zamysłoną twarz doktora. — Podziwiam wspaniałość jej urodę!

Dembiński popatrzył na Amelkę, wyrzucając sobie, że dotąd słodkie dziewczę nie zwróciło jego uwagi.

— Któż piękniejsza? — spytała natarczywie. — Starsza rysy ma szlachetniej wykończona, więcej wdzięku i słodyczy... Cóż pan powiesz, doktorze?

Uśmiechała się złośliwie. Chciała, aby usta Dembińskiego potwierdziły domysł, który w niespokojnym jej umyśle kiełkować zaczął. Dembiński, od pierwszej chwili poznania, wywarł na nią wrażenie. Wmówiłszy w siebie, że jest ofiarą, przykuł do chorego, zniechęconego męża, piękna pani szukała i zbierała serca, zapalając w nich choćby chwilowe błyski. To ją upajało, podniecało wyobraźnię, dodawało interesu smutnemu jej życiu... Tak przynajmniej usprawiedliwiała się sama przed sobą i wymagała, aby świat usprawiedliwiał ją również.

Irytowało ją zachowanie się Dembińskiego; wytworna grzeczność cechowała zawsze jego obejście, ale jakże chłodna, surowa! Zdawał się nie zwracać uwagi na jej piękność i umysłową nad innymi kobietami wyższość, a pałace błyski jej oczu odpierał poważnym, zimnym spojrzeniem. To dostatecznym było, aby płocha ta istota zaczęła o nim myśleć, gorączkować się, szukać przyczyn niewytłumaczonej dla niej obojętności i palić się sama sztucznym ogniem, boć samolubne jej serce na pozory jedynie uczucia zdobyć się mogło.

Wygórowana zarozumiałość nasuwała przypuszczenie, że młody i piękny lekarz nie bez powodu zrozumieć jej nie chce. Roznamiętniła ją chęć odkrycia domniemanej rywalki i—dziś szczególnie śledząc go bacznie, poczyniła pewne spostrzeżenia.

Złoto-piwe oczy w twarzy jego utkwivszy, pytała natarczywie: która z panien Krasnohorskich piękniejsza?

Dembiński nawet w drobnostkach szanował prawdę.

— To rzecz gustu, łaskawa pani! — rzekł poważnie. — P. Amelia jest piękną niezaprzeczenie. Co do mnie jednak...

— Oddajesz pan pierwszeństwo wyzywającej urodzie p. Janiny? — przerwała z ledwo tłumioną niechęcią.

— Lubię brunetki! — odparł swobodnie.

— Czy jako typ? Czytałam niegdyś, że kobiety ciemnowłose porównywane bywają do wód wzburzonych... ale zaciekawiają więcej aniżeli porywają... — mówiła gorączkowo piękna pani.

— To zależy od tysiącznych warunków, — łaskawa pani. — Barwa włosów nie tu rozstrzygać nie może... — odpowiedział znudzony natręctwem doktor.

P. Kamilla pochyliła się lekko ku niemu.

— Twierdzą psychologowie... — szepnęła znacząco, — że trzeba być ostrożnym i z rudowłosemi. Igrać z nimi, znaczy to igrać z zapalkami... Pan tego nie uznaje?

Wlepiła w niego płomienne oczy, a uśmiechała się naiwnym uśmiechem dziecka, który odmładzał ją o lat kilka i nadawał twarzy słodycz i wdzięk.

Janina tymczasem nie spuszczała z nich oczu. Zdawało jej się, że Dembiński z przyjemnością słucha szczebiotu p. Kamilli, że olśniewa go jej spojrzenie. W sercu dziewczęcia potęgowała się niechęć dla niej i niechęć przeciwko Dembińskiemu rosła.

— Nie powinien z nią rozmawiać, nie powinien na nią patrzeć—myślała podrażniona i zwróciła się ku nadbiegającej Amelce.

— Patrz, jak twój ideał zajęty jest żywo czerwonością boginią... — zażartowała niby, zatrzymując siostrę. — Wszysey oni jednacy! Ale ja go jej odbiję! Zobaczysz!...

— Moja Janiu! — szepnęła przerażona Amelka. — Co ty znów wygadujesz? Cóż wielkiego, że z nią rozmawia? Dziwię się doprawdy, że zwracasz na nich uwagę...

— O, nie mnie to przecież nie obchodzi!... — odparła, krzywiąc pogardliwie usta. — Chciałam jedynie dowieść ci, że mężczyzna będzie zawsze słabym w obec zręcznej kobiety, chociażby ona nawet nie była tak piękną jak pani Malska.

W chwili tej właśnie i spojrzenie jej skrzyżowało się ze wzrokiem Dembińskiego.

Czarne oczy Janiny musiały mu powiedzieć coś miłego, bo zerwał się szybko i skłoniwszy się p. Kamilli, pośpieszył ku niej.

Z galeryi płynęła wdzięczna nuta walca, woń kwiatów, blask światła, gwar rozmów i śmiechów, cała ta w ogóle świetna, upajająca atmosfera zbyt ku, rozmarzyła go.

Mniej już panując nad sobą, zatrzymał się przed Janiną.

— Czy mogę panią prosić? — spytał przyciszonym głosem, a w oczach jego aż nadto widocznie odbiło się uwielbienie, które dotąd tak starannie ukrywał.

Janina w odpowiedzi rękę na ramieniu oparła.

— Wale, to mój ulubiony taniec!... — szepnęła. — Istna poezja ruchu... Nieprawdaż?

Ale Dembiński nie był w stanie odpowiedzieć. Trzymał w objęciu ukochaną dziewczynę, patrzył w jej oczy, niezwykle teraz promienne, poił się uśmiechem, którym drgały śliczne purpurowe usta...

— Nie byłem nigdy wielkim zwolennikiem tańca... — mówił rozmarzony, — gdy zmęczoną tancerkę odprowadzał dalej nieco od ruchu i gwaru panującego w balowej sali. — Za to teraz gotów jestem przyznać pani, że taniec, a walec w szczególności posiada wiele poezji i czaru...

— Czy to komplement w zręcznej formie dla mnie wypowiedziany, czy też powtórzyłeś pan ten piękny frazes i innym damom, z którymi dziś tańczyłeś?

Janina mówiła lekko, swobodnie, bystry wzrok topiąc w twarzy Dembińskiego.

Jeżeli chciała mu dokuczyć, powinna być zadowolona z wrażenia, jakie słowa jej wywarły.

Dembińskiemu rumieniec czoła nawet opłynął. Spojrzał na nią surowo.

— Języka salonów nie miałem czasu się nauczyć. Posiadam chłopską szczerość wypowiedzania myśli swoich otwarcie, za co zostałem ukarany...

Z pięknej twarzy Janiny zniknęła uprzednia słodycz, w oczach nie było już tych promiennych blasków, ani uśmiechu na purpurowych wargach.

— Przykro mi... — odezwała się obojętnie. — Ale nie czynię wyjątków... Panowie uważacie, że nam kobietom, potrzeba waszych pochlebstw i hołdów...

— Pani wybacz — przerwał z powagą Dembiński. — Nawykłem szanować kobiety...

Zaszeleścił srebrzysto-zielony atłas i p. Kamilla przesunęła się koło nich wsparta na ramieniu prezesa.

— Czy i takie? — wybiegło z ust Janiny tak szybko, że prawie nie zastanowiła się nad tem, co powiedziała.

Dembiński spojrział na nią zdumiony, dziwnie bo brzmiało to pytanie w ustach młodej panny. Jeżeli wie, jaką jest p. Kamilla, przez wrodzone kobiecie poczucie, nie powinna o tem wspominać; jeżeli zaś odgrywa tu rolę zazdrości, byłby to nader brzydki rys charakteru. Więc patrząc na nią smutno, rzekł tylko:

— Bardzo mało znam p. Malską i wyznaję, że nie ciekaw poznać. Nie czuję zaufania do kobiet

wybiegających poza sferę oddawna zakreślonych dla nich obowiązków i pojęć. Kto jest ta drobna, miłuchna panienka, towarzysząca siostrze pani? — spytał, zmieniając rozmowę.

— Cecylia Zielińska. Koleżanka nasza z pensyi — odparła. — Słodkie, dobre dziewczę! Spójrz pan na tę piękną, wysoką blondynkę, która z hrabią Brunonem rozmawia. To panna Białecka. Bardzo uczona; wybiera się na uniwersytet. Twierdzi, że plama z atramentu na palcu koblety, nieporównywanego dodaje jej wdzięku.

— Jeśli ma zamiar uchylić się od posłannictwa przeznaczonego kobiecie, aby się nauce zupełnie poświęcić, serdecznie jej żałuję — rzekł Dembiński. — W kobiecie radziłybyśmy widzieć małżonkę, matkę, gospodynię. Katedra filozofii nie przyczyni się z pewnością do uczynienia z niej istoty miłej, wesolej, któraby potrafiła bawić się z córeczką, uczyć cierpliwie abecadła swojego maleca, lub delikatną dłonią wygładzać zmarszczki na czole męża...

— To ostatnie byłoby bardzo niewdzięcznym zadaniem — odezwała się z sarkastycznym uśmiechem Janina. Mężowie zwykle są kwaśni i pozbywają się zmarszczek dopiero poza domem...

— A pani zkąd wie o tem? — spytał zdumiony. — Jeżeli mi wolno być szczerym, powiem, że zdanie powyższe dość oryginalnie w ustach młodziutkiej panienki wygląda. Pani oczywiście powtarza myśl cudzą... Nie sądzę bowiem, aby modny pesymizm znalazł już drogę do serca pani?... —

Upewniam, że to mój osobisty pogląd...

— Smutny! — wtrącił Dembiński, przyglądając się jej bacznie. — Mam wszakże nadzieję, że wyleczysz się pani rychło ze zwątpienia, gdy więcej ludzi i życie poznasz...

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

— Nie! — rzekła z mocą. — Pewną jestem, że nie spotkam w życiu nikogo, ktoby się zbliżał do wymarzonego przezemnie ideału...

— Bo nie trzeba szukać ideałów... — zauważył Dembiński. — Nie trzeba zbyt wiele wmagać...

Na twarzy Janiny zjawił się ironiczny uśmiech.

— Jak zabawnie gawęda nasza na tle balowem wygląda! — rzekła powstając, — i nie obdarzywszy Dembińskiego ani jednym spojrzeniem, w objęciu nowego tancerza pomknęła lekka i zręczna w koło tańczących.

Doktor, smutnym powiódł za nią wzrokiem. — Nierówny charakter! — pomyślał z przykrością. — Takie istoty do ogniska domowego z pewnością nie wnoszą harmonii i spokoju.

Wkrótce potem przerwano tańce.

Po dłuższym nieco wypoczynku p. Klemens dał hasło do rozpoczęcia „Wieczoru w Wenecyi.“

Wywołało to ogólne zaciekawienie. Park, kąpiący się w powodzi światła, noc księżycowa, najpiękniejsza, jaką wymarzyć można, jezioro, którego brzegi gęsto płożącym łuczywem oświecone, z czołami strojnymi w kwiaty i wieńce, melodyjne tony canzonetty lub słodkie Schumannowskie pieśni odzywające się wśród drzew, złożyły się razem na całość bardzo piękną i niezwykłą.

Z piersi patrzących wyrwał się jednogłówny okrzyk zachwytu. Ruch i gwar powstał niebawem w przystani.

Młodzież, przebrana za gondolierów, chwyciła wiosła; zaszemrały spokojne, posrebrzone księżycowem światłem fale, ze zdrowych piersi wypłynęła piosenka, lub śmiech wesół zadźwięczał.

W oświetlonej grocie, z alabastrowej urny, piękne damy własnymi rączkami wyjmowały nazwisko towarzysza, przeznaczając im przez figlarnego bożka. Ile tam było śmiechu, zawodów, nadziei... A los jakby się zawziął.

Dembińskiemu dostała się uczona panna Białecka, Malskiej — przeżyty ks. Rafał, hrabiemu — wąż Cesia, którą troskliwość stryjenki przeistoczyła w zawiąniętą szalową włóczkowych, Amelce — rozspany Malski, Janinie — okazały obywatel z sąsiedztwa, o tyle głupiutki, o ile zarozumiały. Pomimo to, wśród ogólnej wesołości, bo każdy, doznany zawód śmiechem pokrywał, wypłynęło na jezioro, ku oddalonej wyspie, gdzie oczekiwały gości nowe niespodzianki w postaci allegorycznej grupy z żywych obrazów złożonej, fajerwerków, bengalskich ogni i t. p.

W pałacu tymczasem, starsi panowie zabawiali się gawędą przy starym węgrzynie, korzystając z nieo-

becności gospodarza, wszczęli oczywiście rozmowę o nim.

— Cóż, nowy sąsiad? — pytał dziedzic Borowski. — Szumnie zaczyna, co? Takiego przepychu dawno okolica nasza nie widziała?... Powiedźcie mi, sąsiedzi, zkąd się naraz ten bajecznie bogaty prezes wziął? Nie przecie dotąd słysząc nie było...

— A cóż miało być słysząc? Toć to świeżo upieczony obywatel! — odezwał się jeden z biesiadników. — Ożenił się bogato, pensję słyszę, bierze bajeczną, a że nie nie robi, więc go się rozmaite figle trzymają.

— Lepiej by dla córek na posag schował...

— Mój sąsiedzie! On i tak hrabiów sobie na zięciów znajduje.

— Gołych? Temu wierzę!

— Aleć zawsze tytuł pięknie brzmi. Tacy, jak prezes, najsmadniej na blichtr się łapią, — mówił rozgrzany starym węgrzynie Borowski.

— Słyszałem, że pretenduje o kupno Zambrówki — ozwał się ktoś z boku.

Borowski się oburzył.

— Co mówicie, sąsiedzie? Zkąd by tyle gotówki wziął?... Zarzecz wprawdzie za psie pieniądze kupił, ale zawsze tam kawał ziemi jest...

— A no jest!... Wdowa rządzi, okradają oszukują na wszystkie strony... gospodarstwo upada, chaos podobno w papierach... Przy takim ogniu można dobrą pieczeń upiec.

— Można! — potwierdziło głosów kilkanaście.

— Tylko nie każdy chciałby pieczeni tej próbować — odezwał się, szlachetnej powierzchowności mężczyzna, który, w mileczeniu dotąd przysłuchiwał się rozmowie.

— Co radca cheesz? — zauważył Borowski. — Hasłem w obecnym stuleciu jest zdobyć pieniądze; a już jakimi się do tego drogami dąży, to rzecz obojętna.

— Smutna refleksya! — szepnął ów, radcę tytułowany. — Ale powiedz no mi, sąsiedzie, jak to tam sprawa stoi z tą Zambrówką? Wy tu przecie bliżej jesteście, niżeli ja... Orzełowski, słyszę, hypotekę porządnie zabazgrał? Znałem jego ojca, trochę mnie to interesuje... Stary ucziwy był i z groszem się umiał liczyć... Zambrówka z dziada pradziada w jednych rękach była; trzeba, że teraz taki oto kataklizm nad nią przeszedł... I to owoc przeładowanego nowymi ideałami stulecia... — mruknął Borowski, pociągając niecierpliwie wąsa.

Radca się roześmiał.

— Widzę, konserwatysta z kochanego sąsiada, co się nazywa — rzekł. — Nasz wiek postępu, jakoś nie bardzo do gustu trafia...

Borowski się zaperzył.

— Postęp? oczywiście jest postęp... — mówił, zapalając się. — Widać go wszędzie; z dziury każdej wyłazi... Po wsiach gospodarstwo kwitnie, lasy szumią starodrzewem, aż miło; Towarzystwo Kredytowe nie ma z kogo ulg ściągać, tak panie dobrodzieju obywatele regularnie się wypłacają... Lichwiarze ręce łamią! Za cóż będą kamienie czy majątki ziemskie nabywać?... Słowo ucziwego człowieka daję, jako sama rozkosz, najczystsze zadowolenie moralne, z obecnego stanu rzeczy, do duszy napływa.

— A to szary pogląd!... w sukienkę szyderstwa przybrany — ktoś zauważył.

— Szary? Dobryś kochanku! Serce bym z piersi wyjął i wilkom na pożarcie rzucił, żeby tylko trochę barw jaśniejszych do onej szarej dodać, — rzekł z ogniem Borowski. — Pokaż no mi, kochanku, takiego, co dziś przeszłość uszanuje, do ziemi się przywiąże, z myślą o jutrze gospodaruje, lichwiarza się za kapotę nie trzyma...

— Sąsiedzie! powoli! Gotowiśmy się obrazić — zainterpelował mówcę okazały właściciel Górek z przyległościami. — Jam u siebie na oczy lichwiarza nie widział, odkąd żyję...

— Toś za to sobek, sąsiedzie!... — rzucił, nie zastanawiając się nawet, Borowski. — Co masz, to w garści trzymasz; a myślący osobnik przecie, powinien się do podziału z innymi poczuwać. Wygłębilibyśmy nędzę, to i cały szereg ciągnących się za nią następstw, zniweczylibyśmy szczęśliwie.

— Ale to z sąsiada nie tylko myślący jak go zwiesz osobnik, ale i niebezpieczny... Kapoty byś widzę z nas pościągał... — śmiał się kwaśno dziedzic Górek.

— W imię powszechnego dobra sąsiadów — odrzekł, mitygując się, Borowski. — Żał patrzeć, jak najpiękniejsze majątki rozdrabniają się, nikną prawie, lasy tną kupey aż miło, i dalibóg, człowiek się niedługo już i staropolskiego kominka wyrzec będzie musiał, bo zamiast smolnej trzaskającej wesoło sośniny, śmierdzącym węglem mu napala...

Wszyscy się rozśmiali, a radca rzekł.

— Zjechaliśmy z drogi sąsiedzie! Chciałem się coś o tym Orzełowskim dowiedzieć. Na jarmarki nie jeżdżę... przez moje piaski rzadko który sąsiad się do mnie przebierze...

— Cienkuszem poi, aż mdli... — mruknął dziedzic Górek do siedzącego obok p. Bażantowicza, który piwniczkę godnie zaopatrzoną miał.

— Sknera! — odparł tenże, z dumą wydymając wargi.

Borowski tymczasem rzecz zagaikł.

— Kochany radco! — zaczął — dużo byłoby opowiadać, jak to owa Zambrówka ku zagładzie szła... Młodego Wacka Orzełowskiego znałem... kolegowali z moim Jackiem i w szkołach gubernialnych i na uniwersytecie. Chłopiec był jak szczere złoto; krew się jeno paliła w nim płomieniem i potrzeba było gwałtem tę nieposkromioną naturę okiełznać. Tymczasem stary zmarł... Matka, zwyczajnie kobieta... Znękanie to zresztą było, po śmierci męża, schorzała... Synalek robił, co chciał, ot i jakie życie, taki koniec! Widząc, że tonie, wyciągnął z Zambrówki, co się dało, i pojechał w rulecie szukać szczęścia... W konkluzji oczywiście, gdy go karta zawiodła, palnął sobie w łeb, o czem radca wiesz i — partya życia rozegrał!

Westchnął stary i kielich węgrzyna do ust ponosił.

— Dobre wino! — rzekł. — Wątpię, żeby prezes w Warszawie swoją piwnicę miał... dyabelnie musi kosztować...

— Dzieci tam co po tym nieszczęśliwym zostało? He? — spytał radca

— Jakżeby! — ozwał się drwiąco Borowski. — Są ofiary, są! — A któżby następstwa dźwigał? Zwykła kolej rzeczy!

Tu szanowny właściciel Górek z przyległościami, żywiąc do Borowskiego urazę, rzekł sentencyjalnie:

— Sąsiad się widzę do krytykowania wyroków Najwyższego Sędziego zabierasz?

Omal że nie wybuchnęła sprzeczka.

— Może byśmy co dla wdowy i sierot uczynić mogli? — rzucił radca między zwaśnionych i wnet ułagodził sprawę.

Borowski się zapalił, właściciel Górek otrzymał wrażenie takie, jak gdyby mu na głowę wiadro wody zimnej wylano.

— Jużem o tem myślał — rzekł pierwszy. — Ale jak to u mnie: roboty w bród; wszędzie samemu dobrać, o wszystkim myśleć potrzeba. Pojadę jednak i rzecz zbadam na gruncie...

— Będzie to grzeczność sąsiedzka! — odezwał się napuszony dziedzic Górek. — Ze się to wszakże na nic nie przyda, z góry jestem przekonany. Wizyty nasze do Zambrówki hypoteki nie oczyszczają...

Ale Borowski nie dał mu skończyć.

— Gdybyśmy poczuć obywatelstwa mieli, gdyby nam chodziło o to, żeby kawałek ziemi utrzymał się przy dzieciach, jako ojcyste gniazdo, gdzie ich przodkowie rozdili się, pracowali, umierali, tobyśmy wspólnie siłami i hypotekę oczyścić mogli — mówił gorąco.

— Ja! mużna! — syknął z uśmiechem szyderczym właściciel Górek z przyległościami.

— Nie ja! mużna, sąsiedzie! — odparł, zapalając się, Borowski. — Prosta pożyczka nie więcej. Orzełowska ja! mużna by nie przyjęła...

Zakrzyczano go.

Co za myśl, żeby w tych czasach bawił się kto w filantropię! Każdy ma swoich kłopotów po uszy.

Radca gładził faworyty i uśmiechał się. Uśmiech ten więcej mówił, niż słowa, ale go nie widziano. Nie chciało widzieć.

— Pójdź sąsiad do ogrodu, na cygaro — rzekł do Borowskiego. — Tu trochę za gorąco!...

Wyszli.

Właściciel Górek z przyległościami mrugnął ku sąsiadom okiem.

— Jeden sknera, drugi ma zajęczki.. I tacy chcą ludzkość dźwigać i nauczać! — odezwał się z sarkazmem.

— A tymczasem prezes ma słuszość, myśląc o zaokrągleniu Zarzeczca... — ciągnął dalej. — Kto dziś na jakieś głupie skrupuły uważa. Trafia się interes, to go brać! Kobieta z gospodarstwem i tak sobie rady nie da.

— Oczywiście! — przywórzono. — A przynajmniej okolica się ożywi, bo prezes umie żyć... Umie bez kwestyi.

Orzekli to wszyscy jednogłośnie, o południu dnia następnego, do domów wracając.

Zabawa udała się znakomicie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGŁĄD LITERACKI.

NOWE PIEŚNI

Wiktora Gomulickiego.

W obecnej literaturze naszej bardzo rzadko spotkać się można z utworami poezyi, więc czytelnik z tem większem zajęciem sięga do książki, która je zawiera. *Nowe pieśni* Wiktora Gomulickiego są też wielce miłym darem dla czytającej publiczności naszej, a wstęp już ją objaśnia, jakim tu jest kierunek uczuć i myśli poety, który wzywając sam siebie, aby przyłożył rękę do stron harfy swojej, taki nakaz natchnieniu swemu daje:

Bądź jako słońce jasnością swą dumne,
Co nie dba kędy blaski jego padną:
Na pierś gorącą czy na pierś bezwładną,
Na oblubieńców łożę, lub na trumnę.
Gdy z drzew umarłych jesień strąca liście
Śpiewaj o czarach nieśmiertelnej wiosny;
Gdy z pól emętarnych chór płynie żałosny
Śpiewaj o lecie, co trwa wiekuiście.
Duch nie zna świtu i nie zna zachodu,
Był przed wiekami i przed wszelką rzeczą
Jest, choć mu tłumy zastępienie przeczą;
Będzie, gdy ziemia skrzepnie w bryłę lodu..

Poeta widzi prawdę życia w poezyi. Człowiek myli się w wyrachowaniach swoich, pożądaniami rozmaite ciągną go w strony różne, zgłębienie życia ogłusza i poezya tylko, przez którą myśl człowieka wzbija się w sfery podniosłe, gdzie panuje już niezmacony spokój ducha, podniesionego nad drobne, egoistyczne pożądaniami, daje mu możność odkrycia tego, co jest celem istnienia ludzkiego. Staje się on za'em tak silny, że poskramia te żądze różne, które go rozrywają na strony, uczuwa się też panem siebie i otoczenia swego, ma moc czynienia wiosny z jesieni, a ciernie staje mu się kwiatami, noc przybiera blaskiienne. Droga jego życia wykreśla się więc jasno i podniosłe, złe żądze otrzymują wędzidła, a myśl ma otwarte przed sobą sfery nieprzemierzone.

Więc poezya w piersi człowieka staje mu się szczęściem, gdy przez jej siły zdobywa moc wytwarzania sobie tego innego, niżeli ziemski świata, gdzie znika mu z przed oczu smutna jawa życia. Ale poeta żąda szlachetnie od człowieka, aby nie był grzesznym samolubem, który się w sobie samym zasklepia i wzywa go, aby stanął w szeregu tych, którzy tworzą wśród ludzkości postęp—którzy działają dla dobra ogółu i woła przez wiersz „Pobudka.“

Do czynu... hej! do czynu!
Pobudkę miłość gra...
Wstań nowych haseł synu
Niech pierzcha fałszu ćma...

A jest to w mocy jego. Bóg stworzył go istotą samodzielną, od niego samego zależy też, aby był wśród życia ludzkości czynnikiem szlachetnym, aby tworzył piękno i dobro—aby chwytając się stopni

drabiny Jakubowej dążył ku górze i choć mieszkaniem ziemi miał moc cherubów i serafinów złożoną w sobie: w sercu i umyśle swoim. Wiersz „Wszeczmoc człowieka“ to wyraz szlachetnej tej władzy, danej mu, aby samoistnie radził sobie i oddziaływał na otoczenie swoje. Poeta odczuwa to przez bicie serca, przez objęcie myślą przestworów otwartych przed nim i ze szlachetnem godności swej poczuć odzyska się dumnie do samego siebie:

Człowieku! większą ci dano moc
Niż ją twój rozum ogarnie,
Złudzeniem tylko smutek i noc
Niedola i jej męczarnie...

Ale ta potęga jego nie opiera się bynajmniej na sile, przez jaką działa wśród starć życia, wśród zdobywanych życia nabytków; fundamentem tu jest rządzenie takie sobą samym, aby panował nad wolą swoją, nad duchową swą istotą i głęboko mądra jest rada poety.

Jeżeli pewną pragniesz mieć obronę
I moc co targa wszelkie losów sidła,
W inną człowieku skieruj żywot stronę:
Okiełznaj żądze a myśli daj skrzydła...

— I kochaj... dodaje w końcu poeta — kochaj i o to, co jest ukochaniem twojem zabiegaj troskliwie... „Miłość kobiety“ jest to wiersz nastrojony na smutną nutę; wszystko co nas otacza jest nie-trwałem, życie to łańcuch trudów, łańcuch zawodów, poeta widzi na tej ziemi jeden tylko kwiat wdzięczny — miłość kobiety i wzywa ją, aby zakwitła na pociechę życia ludzkości: na pomoc przeciw ciężkim próbom losu i woła:

Wśród jałowej istnienia pustyni
Prawie boska kwiatu tego władza,
Niech więc z nami czarodziejstwa czyni
I niebios na ziemię sprowadza,
Niechaj będzie zgorzkniałych osłoda,
Niechaj będzie smutnych pocieszeniem,
Niechaj będzie za pracę nagrodą,
Niechaj będzie w ciemnościach promieniem...

Szlachetną misję daje poeta kobiecie, a jest w tem głębokie zrozumienie tych wpływów, jakie ognisko rodzinne wywiera nie tylko na jednostki, ale i na społeczeństwo całe. Tu dziecko tworzy moralną istotę swoją, tu życie otrzymuje podporę w przekonaniach, które idą z człowiekiem w świat i uczą go zrozumieć co jest szczęściem prawdziwym — tu przez rozwinięte siły uczucia rodzi się poezya, której zanikanie wśród ludzkości opiewa on smętnie w wierszu *Moritur*, nie wątpiąc przecież, że istnieć ona musi wśród ludzkości i choć z gorączką wroży jej ujście przez otchłanie do nieba „z kąd jest rodem, jednak jeszcze „nie wypuszczają berła dłonie, z czoła nie spada dyadem.“ Przecząc tak sam sobie w smutnej uczucie rozterce woła:

Płaszcz ją z amientu skrywa całą,
W ogniu kształtów nie mieni,
Daremnie zechcą gryźć jej ciało
Głodne węże płomieni.
Duch jej uleci przez otchłanie
Do nieba, z kąd jest rodem,
Lecz boskie ciało pozostanie
Wiecznie pięknem i młodem...

Mężnem jest serce poety i kochającym silnie to, co już raz ukochał, ostrzega też człowieka, aby umiał być wytrwałym i nie gwał się pod ciężarami jakie życie nieś mu każe, bo hartuje nas to i urabia do spełniania obowiązków, więc woła do czytelnika.

Nie trzeba z piersi wyrywać boleści
Choćby najstrożej raniła,
Bo nikt nie zgadnie jaka się w niej mieści
Wiążąca do życia siła...

Ze wzruszeniem czyta się wiersz poświęcony pamięci Kraszewskiego, bo jest tu uczucie szczere, ujęte w szlachetną formę poezyi, składającej daninę czei pisarzowi, którego utwory pozostaną zaw-

sze w literaturze naszej, nie ulegając przedawnieniu, bo piękno prawdziwe i myśli wzniosłe nie tracą nigdy mocy oddziaływania na czytelnika umiającego czuć i myśleć. Poeta wyraża to, co ogół uznając wraz z nim odczuwa:

Ten, co nas krzepił—sam upadł w niemocy,
Ten, co nas cieszył—lżą zapłakał krwawą,
Ten, co nas karmił—stał się grobu strawą;
Gdy jego bólów przemierzamy stopnie,
Jakże nam ciężko! jakże nam okropnie!..

To był nasz ojciec i my dziś—sieroty...
On nas skrzydłami swojemi osłaniał,
Uczył wytrwania mężnego i cnoty,
Roje złych myśli od sennych odganiał;
Rozmnażał duchy, jako Chrystus chleby,
I wszystkie nasze zasyczał potrzeby.

Umarł!... Płacz wielki niech dzwony kościołów
I polne dzwonki rozniosą po świecie,
Bo on świętością stał pśród aniołów,
A był tak prosty jako polne kwiecie;
Serce na ziemi, skroń miał wśród błękitu:
Kraj był nim pełen od nizin do szczytu.

W stuleciu, które inne głosi hasła,
Któż odeń lepszym był Chrystusa synem?
Gwiazda w nim wiary nigdy nie przygasła,
Ziarno miłości siał słowem i czynem
I choć zgnębiony przez los i cierpienie
Nie wołał: Zemsta..., ale Przebaczenie...

M. I.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 1 lutego.

Z konieczności zacząć muszę od karnawału, który potężnym echem odbija się tutaj w każdej nieomal sferze, panuje wszechwładnie w myślach i czynach większości paryżan, pomimo skandalicznych wypadków w sprawach głośnych.

Bale urzędowe i prywatne długim szeregiem następują po sobie nieustannie, a teatry przyciągają zawsze jakąś nowością.

W połowie stycznia występowała tu w Gaité na poranku, urządzonym na pomnik dla bajkopisarza Florian'a, Adelina Patti w pantominie „Czarodziejka Mirka.“ Rola bohaterki wykonała Patti po mistrzowsku, czarując słuchaczy gościami, tańcem, a w końcu dopiero śpiewem; całość pyszna, pomimo iż nie jest to już młody, słowiczy głos uwielbianej divy.

Publiczność i krytyka zawsze są tu pełne zachwytu i uznania dla wielkiej artystki. Niektóre jednak dzienniki, a między innemi l'Echo odezwało się: „Wielkie artystki nie starzeją się wcale, a raczej nie chcą tego same spostrzegać. Przyzwyczajone do oklasków i uwielbienia tłumów, nie mogą się obyć bez hołdów. Dla oklasku bronią się przed starością do ostatka. Zapomnienie, zasłużony spokój—to dla nich śmierć!“

W małej salce „Théâtre Mondain“ wystawiono tendencyjną sztukę pani Maryi Szeligi, zatytułowaną „L'orniére.“ W sztuce tej autorka zarysowała kilka dobrze pomyślanych postaci, które w długich dialogach—niby adwokaci przed trybunałem, zajętych przez publiczność—usiłują rozwiązać ważny problemat, dotyczący społecznego położenia kobiety. Nie poruszając tutaj treści a z nią poglądów autorki w powyższej sprawie, konstatuję jedynie, że sztuka nie posiada zgoła warunków scenicznych, słowem grzeszy brakiem teatralnej techniki, to też nuży, pomimo silnie dramatycznych sytuacji. Główna bohaterka, Elyana de Beurville, przedstawia kobietę, skutą węzłami małżeństwa, która z rozpaczą wyrywać się chce na wolność.

Podobno p. Szeliga chce się poświęcić scenie i niezadługo wystawi dwie inne sztuki teatralne.

W Odeonie wystawiono sensacyjną sztukę Henryka Fourquier'a p. t. „Model.“ Autor, znany

wytrawny krytyk dramatyczny, pisujący obecnie w Figarze, wziął sobie do pomocy młodego literata Berlat'a. Sztuka posiada niezbitę dowody znajomości warunków scenicznych, a oprócz tego żywotną, naturalną i dramatyczną treść. Całość jest trzymająca ze ścisłą konsekwencją i prawdą, wyjawszą zakończenia, które wprost razi niestosownym i nieprawdziwym melodramatyzmem, dziwnie odskakującym od charakteru całej sztuki.

Oto jej treść.

Młody i zdolny rzeźbiarz, narzeczony ślicznej i dobrej dziewczyny, a córki swego mistrza, podczas wykonywania posagu Cyrce zapalał zmysłową miłością do swej modelki; stał się wkrótce całkowicie oddanym jej niewolnikiem, porzucając narzeczoną i pracę. Po wielu przejściach przychodzi jednak chwila opamiętania; skruszony grzesznik, powraca do wiernej narzeczonej, wkrótce ma nastąpić ślub i tu właśnie następuje owo melodramatyczne zakończenie. Młoda, kochająca dziewczyna, zazdrosna o wspomnienie rywalki utraconej w posagu, żąda od narzeczonego, aby swe dzieło zniszczył—scena silnie narysowana, akcja szybka trzymająca w zacięciu widza. Młody artysta zgadza się, chwytając za dłuto i odsuwa zasłonę, za którą stoi ukryty posąg. Zamiast jednak martwego dzieła ukazuje się żywa, piękna, kusząca swymi kształtami modelka.

Chciała ona raz jeszcze spróbować siły swych wdzięków na wrażliwym artyście i tem silniej przykuć go do siebie. Przekupiwszy służkę, ukryła się na piedestale, aby uzyskać możność spotkania się z rzeźbiarzem; wysłuchiwała jednak rozmowę narzeczonych i zrozumiała, że ich wzajemnej miłości już nie zachwieje; zrozpaczona więc chwytając z rąk zdumionego artysty ostre dłuto i zabija się w oczach widzów.

Niedostatecznie wymotywowany tragiczny koniec wesołej realistycznej postaci, zwykłego typu pięknej modelki, nie usprawiedliwia zakończenia i odbiera posag dziełu, które bez tego melodramatycznego finału mogłoby zająć wybitne miejsce na każdej poważnej scenie.

Z muzyki mam do zanotowania wspaniały Festiwal, wykonany przez orkiestrę Lamoureux'go w cyrku na polach elizejskich. Nowe dzieło Saint-Saëns'a zgromadziło tłumy amatorów muzyki, a na pochwałę mistrza dodać należy, że w zupełności zasłużył na hołd uznania. Kiedy potężny głos organów zabrzmiął wspaniałymi tonami symfonii „ut mineur“, słuchacze do głębi wzruszeni, wybuchnęli jednogłośnie wielką burzą oklasków.

Rzeczywiście nowe dzieło mistrza, pierwszy raz grane przed paryżką publicznością, posiada wszelkie cechy i głębokość dzieł wielkich mistrzów. Szczególniej początkowe allegro i liczne adagio nadzwyczaj się podobały. Wprowadzenie do orkiestry organu i fortepianu sprowadziło nowe, a niespodziewane kombinacje efektu muzycznego.

Nową również dla paryżan niespodzianką były symfoniczne wariacje Cesara Franck'a który podobnie do Berlioz'a dopiero po śmierci zdobywa sobie uznanie. Był to cichy pracownik na polu swej sztuki, znany zaledwie najbliższemu kręgu wybrańnych; dzieła jego posiadają istotną wartość muzyczną i są pełne oryginalnego wdzięku i siły, słusznie więc należy się artyście hołd, choć spóźniony.

Wogóle poranki muzyczne Colonne'a i Lamoureux'go, kształcąc powoli smak publiczności, coraz większe budzą pośród paryżan zajęcie.

Na horyzoncie politycznym chmury zbierają się coraz bardziej; wiszą one nad głową prezydenta i osób na wyższych stanowiskach stojących. Wszystkie dzienniki rozmarzają codzien inne skandale, a wszystkie graniczą z szantażem; dobrze, jeżeli w wiadomościach tylko do połowy kłamstwo z prawdą jest pomieszane. Sprawa Maksa Lebaudy'ego bynajmniej się nie zakończyła, pomimo śmierci głównego bohatera. Już to co prawda cała ta historia śmiało może posłużyć za wzór do sensacyjnego dramatu. Taka np. figura Cesti'ego, łotra wyższych aspiracji, już sama w sobie mieści rysy charakterystyczne Rocambole'a, Scapin'a lub Roberta Mocarre'a. Życie jego—to pasmo nieustannych i nieprawdopodobnych, a śmiałych awantur.

Posłuchajcie, w jaki sposób osadzono w więzieniu niezwykłego awanturnika.

Na wezwanie sędziego śledczego p. Bernard'a przybył on do pałacu Sprawiedliwości w eleganckim ekwipażu, w dzielne i piękne rumaki zaprzężonym. Był zupełnie swobodnym, pewnym siebie, a oczekując w korytarzu komisarza delegacji, zajętego w chwili jego przybycia, sam opowiadał znajomym dziennikarzom, co go tu sprowadziło, i z całą pewnością eleganckiego światowca dowodził, że jedno jego słowo rozproszy pewne podejrzenia sędziego. Słuchano grzecznie, lecz po cichu szeptano, że piękny ekwipaż i konie wicehrabię były ongi własnością Lebaudy'ego. To też, skoro po chwili do gabinetu komisarza wezwano Cesti'ego, ten z całą naiwnością wyciągnął do niego rękę i zapytał:

— Jak że się pan miewa, kochany panie Bernard; do czego jestem panu potrzebny?

Z surowym wzrokiem urzędnik zadał kilka pytań hrabiemu i po kwadransie odesłał go do Mazas.

Aresztowanie Jerzego de Labruère'a, łączy się też ze sprawą Lebaudy'ego i zaciekawia bardzo rozwiązanie kwestyi, czy był on również winnym szantażu. Aresztowanie w tej sprawie wielu zagadkowych, a głośnych osobistości trzyma paryżan w ciągłej gorączce i ciekawości.

Śmierć Karola Floquet'a nastąpiła niespodziewanie i sprawiła też pewne wrażenie. Dziwne doprawdy losy tego człowieka dać mogą wiele do myślenia, jeżeli zechcemy porównać jego działalność polityczną i ostatnie lata jego życia. Był to człowiek uczciwy i republikanin zagorzały, zgrzeszył jedynie niekonsekwencją w nieszczęśliwej panamskiej sprawie. Widząc się nagle zdyskredytowanym, opuszczonym i wyłączonego od szerszej działalności politycznej, pozostał do końca życia niepokieszonym. Był prezes ministrów i prezes izby deputowanych przeszło od dwóch lat wstąpił do senatu, jako przedstawiciel departamentu Sekwany. Pogrzeb Floqueta odbył się w wielką pompą, jednak bez urzędowego charakteru i bez udziału duchowieństwa.

Kwestya studentów—cudzoziemców—została poruszona na zgromadzeniu Association générale des étudiants de Paris. Na zebraniu tem postawiono dwa wyraźne żądania: pierwsze, aby praktykę lekarską wolno było prowadzić we Francji tylko francuzom, lub tym cudzoziemcom, którzy otrzymają naturalizację; powtóre, aby student cudzoziemiec, wstępujący do paryżkiego uniwersytetu zdawał specjalny egzamin wstępny bez względu na stopień naukowy, we własnym kraju otrzymane. Ale i tego jeszcze widocznie było za mało, gdyż ma być wniesiony do izby projekt, aby naturalizowani cudzoziemcy dopiero w trzeciej generacji byli dopuszczani do publicznych urzędów. Naturalnie, że taki nieprzyjazny stosunek do cudzoziemców w wielu względach niekorzystnie wpłynie na stosunki międzynarodowe, a studentci zaczęną słusznie unikać niegościnnych progów. A dla Paryża, który dotąd zawsze przyciągał do siebie tłumy studentów, będzie to ubytek nielada.

Trzech nowych akademików zasiadło świeżo pod kopułą instytutu. Pierwszy z nich Lemaître zastąpił tam Wiktora Duruy'a, drugi Anatol France zajął miejsce po Lessepse, a wreszcie markiz Coste de Beauregard zasiadł w fotelu akademickim po Kamilu Doucet. Na wakujący jeszcze jeden fotel po Dumasie kandyduje Emil Zola, i kto wie, czy mu się to tym razem nie powiedzie.

Juliusz Lemaître, profesor i krytyk z Debatów, od chwili kiedy wystawił „Pardon“ i „Age difficile“, został ulubieńcem publiczności. To też tłumnie zebrane damy i cały elegancki świat Paryża asystował przyjęciu jego do grona nieśmiertelnych.

Markiz de Beauregard pochodzi z dawnej szlacheckiej rodziny sabaudzkiej, odbył kampanię w r. 1870, był jakiś czas deputowanym; następnie, porzuciwszy politykę, oddał się literaturze, wydał parę dzieł treści historycznej oraz ciekawą i dobrze opisaną historję „człowieka starej daty“ (podobno swego dziadka), przepisana z papierów rodzinnych.

To właśnie dzieło dało go poznać światu i ostatecznie otworzyło mu wstęp do akademii. Jako rojalista, był on silnie popierany przez wpływową rojalistyczną partję.

Anatol France, a raczej Anatol Thiebault, o czem mało kto wie po za granicami Francji, autor wielu dzieł, wyrafinowany sceptyczny krytyk i zapalony biblioman o ruchliwej nieujętej fizjonomii, ma lat

przeszło 50. Wyborowi jego do akademii jednogłośnie przykłada się, a studenci urządzili rzu wielką owacę. Nie bacząc na to że został akademikiem, chciał aby i nadal pozostał mi przyjacielem, albowiem Anatol France jest członkiem honorowym tutejszego stowarzyszenia studenckiego.

Przed kilku tygodniami ukazał się tu nowy dziennik pod przewodnictwem panny Lucy Faure; dziennik ten nosi tytuł „Journal des enfans de France“, w liczbie współpracowników widnieją imiona Jules Simon'a, Franciszka Coppée'go Maurycego Bouchor'a, a wreszcie wesołego Gyp'a. W pierwszym numerze wyszły śliczne poezje Bouchor'a i Coppée'go oraz dowcipny dialog Gyp'a.

A teraz na zakończenie posłuchajcie o kilku atrakcyach, czyli tak zwanych „cloux“, jakie pomysli przedsiębiorcy przygotowują tutaj dla ściągnięcia tłumów na przyszłą wystawę powszechną.

Pomysłowość nie zagina. — Oto kilka jej ostatnich próbek: p. p. Allegre i Dulac proponują otoczenie całego placu i łuku tryumfalnego świetlanym nimbem; jakiś inżynier z Grenobli daje projekt na wzniesienie łuku tryumfalnego XX wieku, któryby przechodził ponad wieżą Eiffl'a. Podali też projekty na wzniesienie pawilonu Orfeusza z kondensatorem dźwięków, pałacu zwycięztw, świątyni miłości, świątyni ideału, dalej plan na odtworzenie pałacu Tamerlana w Samarkandzie z pewną częścią miasta. Proponują też wzniesienie malowniczych ulic Kairu, Damaszku i Wenecji.

Pan Langbanek dał nawet projekt odtworzenia placu w Kairze i zorganizowania wielkiej charakterystycznej wschodniej uroczystości. Znajdują się też propozycje założenia table d'hôte'u „à la Sardana-pa!“ z tancerkami, chórem śpiewaków i t. p. P. Jaudiee obstaje z całą prostotą za odtworzeniem wybuchu Wezuwiusza i ruin Herulanum. Następnie podano projekt wykonania wiszących ogrodów dawnego Babilonu, nadpowietrznej oazy, murów Nowej Jerozolimy podług Apokalipsy S-go Jana, a p. Fabian de Champville proponuje wzniesienie pałacu i zaludnienie go postaciami Dumasa—ojca.

Inżynier angielski Keast chce wykonać sztuczną kopalnię złota, paryżanin Kostner proponuje pozłocić wieżę—Eiffl'a, a p. Poirier z Chartres podejmuje się zbudować olbrzymią 16 metrów wysokiego, mówiącego i poruszającego się mechanicznie. Innych chimerycznych projektodawców, muszę pozostawić na raz inny z obawy zamęczenia ilością wrażeń łaskawych czytelników.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć o projekcie słynnego astronoma Flammarion'a: mianowicie chce on urządzić w obrębie pałacu Trocadero wystawę astronomiczną tego rodzaju, że widz, umieszczony w pewnym punkcie księżycy, miałby dokoła siebie pejzaż księżycowy, a ponad sobą ziemię, niebo i gwiazdy. Projekt ten posiada wiele uroku, a więc tem samem może mieć szanse powodzenia.

Sławnny tutejszy optyk Deloncle pracuje obecnie nad wykonaniem olbrzymiej soczewki do lunety, dzięki której będziemy mogli wkrótce przyjrzeć się z blizką księżycowi, a może nawet z nim interwiewować... Sądę, że gdyby to marzenie—stało się rzeczywistym faktem, to owa soczewka byłaby najpotężniejszą siłą atrakcyjną przyszłej wystawy.

C. H.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, że kwestya opodatkowania welocypedów na rzecz miasta już jest prawie załatwiona w Petersburgu. Komisja finansowa dała przychylną ocenę i podatek zapewne obowiązować zacznie z początkiem sezonu cyklowego.

— Cesarskie rosyjskie Towarzystwo geograficzne obchodziło w Petersburgu pięćdziesięciolecie założenia swego. Zebranie odbyło się w sali rady miejskiej.

— Donoszą z Wilna, że ludność wiejska wyrusza się masami do Ameryki, na Syberję, na Kaukaz

w skutek niemożliwego już pomieszczenia się w dawnych siedzibach. Parcelowanie gruntów może polepszyć położenie, lecz stać się to nie może zaraz i gminy całe proszą o pomoc w celu przesiedlenia się na Syberyę, lub do kraju południowo usuryjskiego.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności wydawać będzie codziennie 200 porcy zupy rumfordzkiej wraz z chlebem dla takiej liczby ubogich.

— Zarząd wystawy higienicznej i poszczególnie jej sekcje specjalne zajmują się tem bardzo gorliwie, aby wystawa została otwartą w terminie określonym, to jest w maju, ale tym czasem zarząd znalazł się w bardzo trudnym położeniu. Fundusz na wzniesienie głównego pawilonu i kiosku meteorologicznego, oraz estrady koncertowej, już się wyczerpał i brak jest jeszcze 3,000 rs., aby całość wykonaną być mogła. Zwrócono się o zapomogę do magistratu ponieważ budynki wystawowe stać się mogą po ukończeniu wystawy własnością miasta.

— Plany zamierzonej wystawy w Kijowie w 1897 r., już zostały przedstawione miejscowemu Towarzystwu rolniczemu. Planów tych jest osiem.

— Komitet Towarzystwa przeciw-żebraczego zebrany pod przewodnictwem księdza Chełmickiego w d. 5 lutego, wysłuchał sprawozdania za czas istnienia pożytecznej tej instytucji, to jest od d. 15 maja roku zeszłego do d. 1-go bieżącego roku. Dochody przyniosły 38,748 rs., rozehód wykazał 33,145 rs., zatem przewyżka dochodu przedstawiała 5,602 rs. Tanie kuchnie Towarzystwa wydały 1,069,337 porcy; w domach noclegowych nocowało 158,029 osób dorosłych i 6,071 dzieci. Odczytano następnie listy ubogich nadesłane przez zarządy parafialne, którym wolno będzie prosić o jałmużnę w przedśionkach kościołów i na cmentarzach; listy te przesłane będą wymienionym zarządom z zastrzeżeniem, aby zarząd nie pozwalał na prośbienie o jałmużnę po za miejscami przeznaczonemi na to. Kurator praskiego domu zarobkowego, p. Różycki, objawił zamiar urządzenie sklepu na wyroby tegoż domu we własnym bazarze. Członkowie komitetu, p. p. D-r Baranowski, Karol Szlenkier, Zygmunt Twarowski, zostali powtórnie wylosowani, oraz kandydat, p. Franciszek Olszewski.

— P. I. Sępiński, muzyk zamieszkujący miasto nasze, opracował projekt zorganizowania orkiestry z młodzieży, należącej do zgromadzeń rzemieślniczych. Wykazuje on w wywodach swoich, iż nauka udzielana w dni świąteczne, oraz dwa razy na tydzień wieczorami, nie stawała by się przeszkodą w pracy, a oddziaływała by dodatnio, dając zajęcie szlachetne i rozbudzając poczucie estetyczne, które stoi na straży przed chęcią używania poziomych życia przyjemności. Koszt na urządzenie i prowadzenie kapeli, podzielony między cechy, wyniosłby na każde ze zgromadzeń co najwyżej 25 rs., rocznie.

— Sekcja Towarzystwa muzycznego imienia Moniuszki otrzymała od p. Józefa Greinerta, b. redaktora *Zorzy*, dar cenny, muzykę Moniuszki do dramatu „Wanda,” utworu ofiarodawcy. Muzyka ta składa się z kompozycji solowych i chóralnych.

— P. Władysław Miller, muzyk i kompozytor utworzył dwie jednoaktowe opery, do których napisał i libretto. Artysta ten cieszący się uznaniem znawców, uzupełnił studia teorytyczne pod kierunkiem dyrektora Noskowskiego.

— Licytacja dzieł sztuki w Salonie artystycznym przy Nowym-Swiecie zdalazła wielu nabywców na obrazy H. Piątkowskiego, W. Gersona, K. Mireckiego, E. Lindemana, S. Wronskiego, B. Trębacza, Lenartowicza i Wasilewskiego. Kupiono kilkadziesiąt akwarel: Kostrzewskiego, Popławskiego, St. Dąbrowskiego, Tracewicza i innych; akwarele i rysunki znajdowały szczególnie nabywców, do czego przyłożyły się niewątpliwie umiarkowane ich ceny.

Przedmiotów sztuki stosowanej sprzedano też liczbę znaczną.

— Dzieci wysyłane na kolonie letnie otrzymują odzież, przygotowaną przez zarząd i używają jej wyłącznie, poczynając od 1893 r. Ze przeciwieństwa w 1894 r. wysłano ich 1821, w roku następnym 1875 razem w przeciągu lat dwóch wysłano 3,696, łatwo też zrozumieć jaką trudność przedstawiało dostarczanie tak znacznej liczby obuwia i trzeba było zwrócić się do ofiarności tak garbarzy, składników skór, jak i majstrów szewskich, w czem stanął zarządowi do pomocy p. St. Hiszpański, nie tylko przez ofiarność własną, ale i przez zjednanie jej wśród majstrów tego cechu, w pracowni jego stale czynnych. Garbarze składali również ofiary znaczne w materyale, równie jak i majstrowie, pracujący w innych gałęziach. Zarząd kolonii letnich podnosi też głos prośby do tych zacnych obywateli naszego miasta i wszystkich ludzi dobrego serca, aby nie ustawiali w szlachetnych czynach miłośierdzia. Ofiary w materyale uprasza się przesyłać do biura kolonii letnich.

— Wychodztwo ludności galicyjskiej do Brazylii zaczyna niepokoić sfery myślące i sejm uchwalił środki zapobiegania temu wyludnieniu się kraju, polecając, aby wydział krajowy czuwał nad ruchem emigracyjnym, rozciągając najpierw najściślej kontrolę nad agentami i karał surowo tych wyzyskiwaczy nieuczciwych, kupejących ludźmi. Należy zarazem starać się, aby konsulowie w Genui, oraz poselstwo w Rio Janeiro mieściło w gronie swoim osoby, mogące porozumiewać się z wychodźcami w ich języku.

— Komitet restauracji katedry na Wawelu ogłosił, iż na dachu skarbcu przytwierdzono na nowo herbię cyfry biskupa Gembickiego, w ścianie od strony zamku uzupełniono kamienne iglice i kwietony na zazębieniach. Obecnie przystąpiono do restauracji prezbiterium i przy badaniu ścian odkryto we wnękach okien dawne freski figuralne z końca XVI. Koszt restauracji wyniósł po dzień 15 grudnia 23,324 zł. reń. Z wiosną rozpocznie się restauracja wieży Zygmuntowskiej, dalej nastąpi restauracja zabudowań mieszczących kapitułarz, bibliotekę i archiwum katedry; uzupełnione będą stale kanońskie.

— Składki centowe na Wawel wynoszą blisko 24,000 zł. reń. W kościele S-tej Anny odsłonięto tablicę pamiątkową ku uczczeniu pamięci Lucyana Rydla, wykonaną przez rzeźbiarza Langmana, kosztem profesorów uniwersytetu i Towarzystwa lekarskiego. Towarzystwo szkoły ludowej zmieniło na walnem posiedzeniu niektóre paragrafy statutu i wybrało nowy zarząd oraz radę.

— Komitet zajmujący się wzniesieniem Mickiewiczowi pomnika w Stanisławowie powierzył jego wykonanie Tadeuszowi Błotnickiemu, pod następującymi warunkami. Figura pomnika ma być wykonana z kamienia tarnopolskiego i umieszczona na podstawie architektonicznej, zdobnej w emblematy poezji, a będzie ona wysoka dwa metry i dwadzieścia pięć centymetrów. Z ukończeniem jej artysta otrzyma 3,000 zł. reń. Postać Mickiewicza będzie ubrana wiernie w strój ówczesnej epoki, głowa wzorowana na podstawie maski śmiertelnej jest jeszcze w pracowni rzeźbiarza. Pomnik ma być w listopadzie 1896 r. zupełnie wypracowany i ustawiony.

— Aleksander Gieryski powrócił z Wiednia gdzie urządził zbiorową wystawę wszystkich dzieł swego pendzla, obecnie pracuje nad nowym obrazem większych rozmiarów na tle włoskiego Odrodzenia.

PRZYTULEK PUSZCZA.

Cztery lata ubiegły od chwili, gdy po długich i usilnych staraniach ze strony Towarzystwa Osad Rolnych i przy chętniej pomocy ludzi dobrej woli urządzono 1891 r., dla dziewcząt, skazanych sądowo, przytułek poprawczo-wychowawczy w nadanej na ten cel Towarzystwu Osad Rolnych piętnasto morgowej osadzie Puszcza, położonej w pow. Skierniewickim o 4 wiorsty od Studzienca.

Na razie celem niezwłocznego zarządzenia dotkliwej potrzeby społecznej, a w obec braku funduszków na wzniesienie odpowiedniego na ów zakład budynku, przytułek w Puszczy urządzony został tymczasowo na 12 wychowanek w starym domu drewnianym zajmowanym ongi przez leśniczego, a pracą wychowawców Studzienieckich możliwie odnowionym, przerobionym i rozszerzonym. Było to atoli schronienie, zgoła nie wystarczające ani pod względem swej przestrzeni, ani też warunków zdrowotności, bezpieczeństwa i wygody; i z tej przyczyny władze Towarzystwa od pierwszej chwili odczuły i uznały nieodzowną potrzebę wzniesienia odpowiedniego nowego domu zakładowego. W miarę jak zaludniała się Puszcza przez przybycie nowych wychowanek, (których obecnie jest w niej 12), potrzeba ta tem dotkliwiej dawała się we znaki i dziś stała się wprost palącą kwestią dalszego bytu młodocianej instytucji. Wobec tego już przed dwoma laty władze Towarzystwa zajęły się wygotowaniem planów nowego domu zakładowego i gromadzeniem na ten cel materyałów budowlanych i funduszków. Kosztorys rzeczonoż domu, obliczonego na wskazaną w ustawie normalną liczbę 50 wychowanek, wynosi 12,000 rs., na poczet, których ze źródła ofiarności publicznej wpłynęło podotąd rs., 5,401 brak zatem jeszcze 6,600 rs. W tym stanie rzeczy Prezydium Towarzystwa Osad Rolnych ośmieli się odwołać niniejszem o pomoc do wszystkich ludzi dobrej woli, ufne, że sz. zrodobliwa ich ofiarność pozwoli rychło zaradzić nieuchronnej potrzebie i jeszcze z wiosną r. b. przystąpić do budowy domu zakładowego. Nazwaliśmy tę potrzebę nie uchronną, bo, zaiste w obecnym stanie przytułek w Puszczy nie tylko jest pozbawiony możliwości dalszego rozwoju, nie tylko nie może w całości wykonać swojego wzniesłego zadania moralnej poprawy zaniedbanych dziewcząt, ale był jego dalszy jest zagrożony. Społeczeństwo nasze, tak zawsze dla dobra publicznego ofiarne, i tak czułe na ludzką niedolę, nie będzie niechybnie obojętnem dla sprawy wychowania i umoralniania opuszczonych dziewcząt i pośpieszy z niezwłoczną pomocą. Niechże ta odezwa odniesie skutek pożądany, niech on będzie nowym dowodem, że poprawa moralna, ten najwyższy cel usiłowań społecznych znajduje w sercach obywateli naszego kraju właściwe uznanie i skuteczną pomoc, a wdzięczność ochronionych od zepsucia wychowanie przytułku będzie najmiłszą ich ofiarą nagrodą.

Prezes Komitetu L. Górski.

Vice-Prezes Komitetu ks. M. Woroniecki.

Przewodniczący w Zarządzie

D-r W. Miklaszewski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 6.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Z dziejów wiedzy, przez W. M. Kozłowskiego (dokończenie).—Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Przegląd literacki, przez M. I.—Nowiny paryżkie przez C. H.—Z bieżącej chwili. — Przytułek

Dodatek obejmuje: Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 6. Przegląd mód. 19 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.